

PISMO SPORTOWE

Wychodzi 15-go i 30-go każdego miesiąca. — Dodatki „Kuryer Sportowy" wychodzą 3 razy na tydzień od 1 marca do 1 listopada.

Nr. 13. **Warszawa, 2 (15) Lipca 1902 r.** **Rok XII.**

(Ogólnego Zbioru Nr. 271).

Warunki prenumeraty na ostatniej stronie.

PRZEOBRAŻENIA W JEŹDZIE KONNEJ.

(Dalszy ciąg).

XXXIX.

Powrót do twórczości. Nowa teorya Baucher'a. Hr. d'Aure. Na jazdę szkolną zwracają baczną uwagę w kawaleryi. Rynsztunek jazdy i elementarne jej przepisy przed 1840 r.

Zwykle po długotrwałych wojnach, po wielkiem wyczerpaniu sił i woli, po naprężonej pracy całych społeczeństw w jednym tylko kierunku, następują czasy skupienia myśli, rozbiorów krytycznych, badań—i stopniowo dochodzi się do twórczości.

Pierwsze lata po długich wojnach dla narodów zwycięskich, są jakby chwilami nadmiernego upojenia, roznamiętnienia powodzeniem, a dla narodów zwyciężonych latami prostracyi i przygnębienia. Jednak powoli przygnębione społeczeństwa budzą się z uśpienia pod wpływem słów poety lub uczonego i pragną znów szerszego życia.

Po niebywałych tryumfach legionów napoleońskich, gdy ich wódz dorównał, a nawet przewyższył potęgę Karola Wielkiego i Karola V, naraz nastąpiła katastrofa, upadek, ruina. Waterloo jest jedną z najdziwniejszych, a zarazem najbardziej decydujących bitew, jakie kiedykolwiek rozstrzygnęły losy narodów. Po dwóch najazdach, po dwukrotnem wejściu do Paryża wojsk sprzymierzonych, po tylu upokorzeniach, które nastąpiły po oszołamiających, bajecznych zwycięstwach, Francya musiała wpaść w rodzaj jakiegoś letargu, pół-snu na jawie. Ludzie żyli, aby żyć, z dnia na dzień, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego życia. Tak żyje człowiek chory, zajęty jedynie swoją chorobą i we śnie szukający pożądanej ulgi.

Nagle, pomiędzy drugim a czwartym dziesiątkiem zeszłego stulecia, natchnione wiersze Lamartine'a, Victora Hugo, de la Vigne'a, trochę później pełne namiętności, życiowej prawdy i ognia Alfreda de Musset, budzą Francyę do życia, wyrywają z odrętwienia. W tymże mniej więcej czasie pisał u nas Mickiewicz, Słowacki i Krasiński.

To budzenie się ducha, nie ograniczało się tylko do poezyi, do rozbudzenia się uczucia, do wzniesienia i zwrócenia myśli ku rozległym widnokręgom. Na polu wynalazków, przemysłu, dokonywano również wielkich postępów.

W trzecim i czwartym dziesiątku lat zeszłego stulecia, zaczęto budować koleje żelazne, ulepszać telegrafy, drogi bite, rozszerzać ciasne, średniowieczne ulice, zakładać ulepszone fabryki. I w tej samej epoce tak pełnej podniosłości ducha u poetów i myślicieli, a owocodajnej na polu przemysłu i wynalazków, widzimy nowe teorye, nowe książki, pojawiające się „o jeździe konnej."

Czasy rewolucyi francuskiej, a następnie epopei napoleońskiej były nadto pełne czynu, nieustającego ruchu, działania, żeby na pisanie książek, szczególniej o jeździe konnej, ówcześni jeźdźcy mieli wolne chwile. Wówczas jeźdźcy nie pisali, tylko dosiadali koni, przypasując pałasz do boku i zapuszczając pistolety w olstra. Ujeżdżanie koni było częstokroć bardzo niedokładne; długie, powolne ich przygotowywanie było niemożliwe, kadry kawaleryi musiały dostarczać swoich uczniów na wpół wyrobionych, a częstokroć podczas kampanii zapełniało się luki w pułkach sposobem rekwizycyi, brano do szeregu, co było możliwem do wzięcia.

Po wyrównaniu stosunków europejskich, „przywróceniu porządku," jak mówiono na kongresie wiedeńskim, po wysłaniu na bezludną niemal wyspę „uzurpatora," gdy nastąpiły lata prawie zupełnego spokoju, zajęto się wojskiem nietylko praktycznie, ale i teoretycznie, a rozumie się, że w tej

teoryi ujeżdżanie koni, przygotowywanie ich do służby w szeregach miało swoje miejsce.

Szczególniej w ostatnich latach wojen napoleońskich musiano nolens volens zapomnieć o maneżu i o chodach szkolnych i, jak już wspomnieliśmy, ograniczano się do przygotowywania koni jak najbardziej sumarycznego. Tylko stare konie, które przeszły krwawe kampanie i odbywały długie pochody od Pirenejów po za Niemen, Dniestr i Dniepr, były jeszcze wyrobione podług zasad mistrzów dawnej wersalskiej szkoły. Teraz *szkoła* odżyła we Francyi, zarówno jak i w innych wielkich militarnych państwach, lubowano się w nadzwyczaj dokładnem wyrobieniu koni, w nadzwyczaj wyrównanych szeregach, któreby bez pomyłki ruszały miarowym kurcgalopem z prawej lub lewej nogi i z dokładnością maszyny wykonywały na komendę zwroty. Zwartość szeregu, jednolitość ruchu uważano jako największą siłę jazdy, pozbawiając ją stopniowo wskutek rutyny tej inicyatywy, jaką jej nadawał Seidlitz za Fryderyka Wielkiego, a następnie Murat i Montbrun za Napoleona.

Pojawienie się książek, zajmujących się jazdą konną, musiało w tej epoce wywołać wrażenie. Cały światek jeździecki został we Francyi poruszony polemiką pomiędzy hr. d'Aure i Baucher'em. Hr. d'Aure, należący do arystokratycznej rodziny, miał swój sposób jeżdżenia na koniu bardzo indywidualny, zawdzięczał dużo swej fizycznej sile, a jego zasady w pewnej mierze przypominały tradycyę wersalską; dużo też zapożyczył z Nestier'a. Hr. d'Aure dzięki swym stosunkom zajął w 1847 r. stanowisko naczelnego instruktora szkoły w Saumur.

Baucher przeciwstawił własny system wyrabiania koni, system oryginalny, cały oparty na znajomości mechaniki i budowy konia, na zrównoważeniu jego masy i nadaniu jej zarazem jak największej giętkości i zwrotności. Tylko do osiągnięcia tych rezultatów uznał Baucher siłę za zupełnie niepotrzebną, a wszystko u niego zasadzało się na odpowiedniem przygotowaniu konia. Baucher pochodził z ludu i drogą intuicyi, obserwacyi, przebywając i pracując dłuższy czas w cyrkach, doszedł do świetnych rezultatów. Jednak nie dowierzano praktyczności jego metody. Dopiero jenerał Oudinot, zaciekawiony świetnemi jego popisami jazdy wyższą szkołą na koniach „Pootisan" (pełnej krwi) i „Buridan," poszedł do cyrku naocznie przyjrzeć się tym produkcyom i został niemi zachwycony. Wówczas jenerał polecił Baucherowi dawanie lekcyi i obznajmienie ze swoją metodą kapitanów-instruktorów ze szkoły w Saumur, a z tych pp. Guerin i de l'Herme de Novital wybornie zrozumieli metodę Baucher'a i stali się jego gorliwymi uczniami. Jednak powodzenie metody Baucher'a obudziło zazdrość w hr. d'Aure, który zaczął ją bardzo krytykować, twierdząc, że ta metoda nie jest nowością, że Baucher naśladuje tylko Pluvinel'a, że on już znał wybornie wyłamywanie boczne, szyi, i t. p. Hr. d'Aure, doskonały w swoim rodzaju jeździec, ale pozbawiony gruntownej wiedzy szkolnej i który nigdy żadnego konia sam dokładnie nie wyjeździł, ani nie wskazał zasad stałych wyjeżdżania, nie miał słusznych powodów do unoszenia się zazdrością.

(*D. c. n.*)

St. Wotowski.

Wyścigi we Włoszech.

Przerznięte w całej swej długości łańcuchem gór Apenińskich, których odnogi sięgają nieraz bardzo daleko, Włochy posiadają zaledwie cztery okręgi hodownicze: Illiryę, Toskanię, Campanię i Tarent. W innych okolicach włościanie produkują mniej więcej taką ilość koni, jaka im jest do prac rolnych potrzebna, lecz przemysł koński istnieje właściwie tylko w tych czterech punktach głównych; jest on najbardziej rozwinięty w Illiryi, lecz łatwo pojąć, iż ogólna produkcya jest niedostateczna nawet dla zaspokojenia potrzeb krajowych i że import koni jest niezbędny.

Główny kontyngens koni wprowadzanych do Włoch dostarczają Węgry, pewna ilość jest nabywana we Francyi, zaś koni luxusowych dostarcza Anglia, a niekiedy również Węgry.

Naturalnie taki stan rzeczy odbija się i na hodowli koni pełnej krwi, która się rozwija bardzo powoli, a jej postępy są zaledwie dostrzegalne. Zresztą warunki hodowniczo-wyścigowe są we Włoszech wyjątkowo niekorzystne. Hipodromy, które wszystkie większe miasta pragną mieć u siebie, z powodu niezmiernego wydłużenia półwyspu są bardzo oddalone jedne od drugich. Z tego powodu konie wyścigowe muszą odbywać podróże

Wycieczka po konie.

Napisał

Stefan Bojanowski.

(*Dalszy ciąg*).

Hr. Juliusz Dzieduszycki, syn Kajetana, a potomek tego starego rodu Dzieduszyckich, którzy od wieków w województwie ruskiem osiadłszy, tak całem sercem umieli kochać te swoje stepy podolskie i z poświęceniem życia i mienia bronić je latami od pogańskich najazdów, — wychowany pod wrażeniem wspomnień o Emirze Rzewuskim, bierze ze sobą kilku jarczowieckich kozaków, udaje się z nimi na Wschód, przebiega niedostępne chrześcianom pustynie Arabii, zwalcza wszelkie trudności zakupna i przyprowadza do kraju, do jarczowieckiej swej stajni, transport ogierów i klaczy tak cennych, że odkupiony później przez rząd austryacki taki np. „Tuchmen" i „Ben-Azet," wytwarzają w rządowych stadninach, osobne od ich nazwiska nazwane rody; pierwszy staje się bowiem w Radowcach na Bukowinie, ojcem pokolenia „Stamm-Tuchmen," a drug w Lippicy pod Tryestem, wytwarza ród do dzisiaj jeszcze „Stamm-Ben-Azet" od niego nazwany. Potomstwo takiego np. „Bagdada," który zakończył życie w Jarczowcach, w 35 roku swego wieku, rozchodziło się po całej przestrzeni ziem polskich, a tak wysoko było cenione, że każdy niemal szlachcic musiał mieć w swojej stajni przynajmniej jednego syna, lub wnuka „Bagdada!"

Hr. Juliusz Dzieduszycki, ożeniony z Zofią Bobrówną, córką marszałka szlachty wołyńskiej, umarł bezpotomnie we Lwowie w r. 1884, a stado jarczowieckie przechodzi po jego śmierci do stajen familii Dzieduszyckich. Araby „najczystszej wody", znajdujące się obecnie w posiadaniu:

JE. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego w Jezupolu;

ks. Florentyny Czartoryskiej, z domu hr. Dzieduszyckiej w Jabłonowie;

ożenionego z hr. Dzieduszycką ks. Czartoryskiego w Pełkini;

hr. Edmunda Dzieduszyckiego w Izydorówce i nienależącego do familii Dzieduszyckich p. Longin Łobosa w Taurowie,

długie, uciążliwe i tem kosztowniejsze, że hodowcom przy przewozie koni, nie przysługują żadne ulgi taryfowe. Trenerzy, zmuszeni przepędzać większą część czasu zdala od swoich zakładów, nie mogą ani otoczyć powierzonych sobie koni opieką dość staranną, ani postawić je w pożądanej kondycyi. Niedogodności są więc pod każdym względem bardzo poważne, a że są one „natury wyższej," przeto należy się obawiać, że zawsze stanowić będą przeszkodę do rozwoju i postępu w hodowli rasy pełnej krwi.

Z drugiej strony nagrody są tak małe, że częstokroć nie są wstanie pokryć kosztów podróży i utrzymania konia, ani opłacić kosztów jazdy żokieja, który go dosiadał, jeżeli koń wygra tylko jedną nagrodę. Zawsze twierdziłem, że jest niezgodnem z zasadą sportu i interesami hodowli, zamieniać wyścigi na przedsiębiorstwa spekulacyjne, który to kierunek niestety coraz częściej się przejawia obecnie we Francyi i w Anglii. Paczy to ich ducha i cel. Lecz o ile trzeba unikać, aby nie zamieniać hipodromów na zakłady spekulacyjne, o tyle każdy hodowca ma prawo pragnąć, by mu się wracały wyłożone koszta. Zresztą bardzo mało jest takich, którzyby bez uszczerbku własnego majątku, mogli się narażać na ciągłe i przewidziane straty, nie mając nadziei pokrycia ich kiedykolwiek. Taki jednak wypadek zachodzi we Włoszech. Stajnia, ciesząca się największem powodzeniem podczas jakiegoś meetingu, której wygrane wynoszą 130—140,000 fr. przeciętnie, rzadko kiedy jest w stanie utrzymać równowagę budżetu, prawie zawsze rozchód przewyższa dochód, a szczególniej jeżeli skład stajni jest liczny. Co do mniejszych stajen, te prawie zawsze są utrzymywane przez właścicieli, którym tylko o to chodzi, aby ich barwy ukazywały się publicznie, jestto jednak tak kosztowna przyjemność, że długo trwać nie może. Ztąd wynika zupełny brak jednolitości i systematyczności, co wcale nie sprzyja hodowli wpływa na jej rozwój.

* * *

Włoski Jockey-Club, mający swoją siedzibę w Rzymie i który się składa mniej więcej z trzydziestu członków nie może zaradzić w niczem temu smutnemu stanowi rzeczy, chociażby dla tej dobrej racyi, że nie rozporządza innemi środkami pieniężnemi, oprócz składek swoich członków, co mu pozwala udzielać zaledwie po kilka nagród 1,000 fr. głównym towarzystwom wyścigowym. Sam nie posiada żadnego hippodromu; jego czynność, natury czysto moralnej, zasadza się na tworzeniu ustaw i modyfikowaniu ich w razie potrzeby i stosownie do okoliczności.

Najważniejsza próba pod względem hodowniczym, ze wszystkich rozgrywanych we Włoszech, jest Derby Królewskie, do którego nagrodę w sumie 24,000 fr. daje król; wyścig ten odbywa się w okolicach Rzymu na torze des Capannelle około 10 kwietnia. Meeting rzymski obejmuje zwykle cztery do pięciu dni.

Towarzystwo Medyolańskie, najpierwsze we Włoszech, odbywa swój sezon wyścigowy w San Siro i ma tor doskonale urządzony; w czasie dwóch meetingów wiosennego i jesiennego Towarzystwo to daje 200,000 fr. na nagrody, z których najważniejsza, nagroda du Commerce 50,000 fr., jest międzynarodową, lecz jej warunki w ostatnich czasach zostały zmodyfikowane w ten sposób, iż konie zagraniczne mają być musowo do sprzedania (à reclamer) za 10—20,000 fr. i noszą duże nadwagi; przyprowadzenie więc konia obcego i puszczanie go w tym wyścigu nie przedstawia interesu. Nadto podczas meetingu w San Siro rozgrywa się kilka nagród po 10,000 fr.

W Turynie nagroda Księcia Amadeusza 20,000 fr. wyścig międzynarodowy również — stanowi najgłówniejszą próbę. Florencya, Neapol, Palermo urządzają też meetingi dosyć interesujące z niewielkiemi nagrodami. A na koniec i w innych pomniejszych miastach odbywają się małe meetingi wyścigowe, lecz przedstawiają bardzo mało interesu. Zwykle program każdego dnia obejmuje trzy lub cztery wyścigi płaskie i jeden lub dwa wyścigi z przeszkodami. Tory bywają po większej części zupełnie płaskie, z ostremi zakrętami i długą linią prostą, na której się wyścig kończy.

Piza urządza również w San Rossore dwa małe sezony t. j. na początku i przy końcu kampanii wyścigowej. Sąsiedztwo Barbaricina, miejscowości, w której trenują większość koni wyścigowych włoskich, usprawiedliwia istnienie Towarzystwa Alpea.

W swojej wspaniałej posiadłości San Rossore oddaje król trenerom do użytku obszerne tory robocze, trzymające 3,066 m. szerokości. Klimat tamtejszy jest wyborny, teren jest bardzo dobry w zimie, lecz w lecie, podczas upałów, oślepiający kurz utrudnia ogromnie robotę koni. San Rossore położone jest mniej więcej o 1,500 m. od Barbaricina.

Taka jest, w ogólnych zarysach, organizacya wyścigów we Włoszech. Towarzystwa wyścigowe, którym rząd nie udziela żadnych subsydyów, robią co mogą,

---

pochodzą od trzech klaczy, które ś. p. hr. Juliusz Dzieduszycki przyprowadził w r. 1845 z wyżyn Neżdi do Jarczowiec, a mianowicie od klaczy:

1) „Sahara", z pokolenia Neżdi-Kohejlan;

2) „Mlecha" z tego samego pokolenia co Sahara—i

3) „Gazella", z pokolenia Anaze-Kohejl-Agjus.

A zatem powiedziećby można: „Dzieduszyckich konie"—to „arabskie konie"!

I dlatego też w stajni np. hr. Edmunda Dzieduszyckiego w Izydorówce, taki „Yasri" po folblucie „Verbum nobile" (po King-Alfons, po Cambuscan) od „Sapho" (od Frou-Frou, importowanej steplerki z Anglii), nie jest mi koniem sympatycznym, bo chociaż biegał z powodzeniem kilka razy na wyścigowej arenie, a dwa razy przychodził do mety nawet jako pierwszy, to jednak taki „Yasri" bądź co bądź „w stajni hr. Dzieduszyckiego" — jest przybyszem obcym, bo koniem, u którego ni krew, ni kość, ni piękność i zalety, ni typ i tradycya — „Dzieduszyckich koni"!

Wolę w tej samej stajni i u tego samego hr. Dzieduszyckiego, jego „Gazellę Izydorówkę", po Seglavi od Gazelli III, po Hadudy od Gazelli II, po Kohejlan od Gazelli, sprowadzonej z puszczy — tylko szkoda wielka, że potomstwo tej Gazelli, to już produkt po ang. folbl. „Skladerocku"! Wolę w Jezopolu taką siwą „Kukułkę", ur. w r. 1886 w jarczowieckiej stajni, po „El-Kibir" z „Kitki", kasztanowatą tamtejszą „Bibi", z familii „Sahara", wreszcie siwą „Poziomkę", ur. w Jarczowcach w 1884 r. Bez porównania przyjemniejsze są mi w pełkińskiem stadzie, u ks. Witołda Czartoryskiego, jego siwa „Bona", lub skarogniada „Gazella", po Hindostanie z Gazelli po El-Delemi, bo obie wychowane przez hr. Juliusza Dzieduszyckiego w jarczowieckiej stajni!

Stokroć milszy mi u ks. Czartoryskiej w jej jabłonowskiem stadzie, taki np. złotogniady „Krzyżyk", z rodziców, dziadów i pradziadów — najczystszej krwi arab; taka np. hreczkowata „Dagmara" urodzona w Jarczowcach w 1886 r. po Krzyżyku z Dagmary; takie siwe „Lutka" i „Thuja", wnuczki Hindostana, a prawnuczki Mlechy sprowadzonej z puszczy, — bo to typy i obrazy tych szlachetnych, śliecznych i pełnych zalet „Dzieduszyckich koni", bo one tak żywo przypominają te wzniosłe postacie i sympatyczne chwile, kiedy to

lecz środki materyalne, jakiemi rozporządzają, zbyt są ograniczone, aby ich działalność mogła być prawdziwie owocną.

S. F. Touchstone.

Z Saarbrücken do Rzymu

przez szczyt góry Świętego Gotharda.

Raid dystansowy,

odbyty w 12 dni przez oficera 7-go pułku dragonów niemieckich, kapitana Spielberga.

Spolszczone przez **S. E.**

(Dalszy ciąg).

Dzień 11-ty czerwca.

Już o trzeciej rano się przebudziłem i zjadłszy skromne śniadanie, poszedłem do stajni. Koledzy z Piacenzy odjechali zaraz po północy, i śpiesznie podążyli ku domowi dla uczestniczenia w rannych ćwiczeniach przy swoich szwadronach. Przestrzeń drogi, którą odbyli, licząc w tę stronę i z powrotem wynosiła 120 kilometrów. Później dowiedziałem się, iż drogę tę odbyli na nietrenowanych koniach w 15 godzin, z których część przypadła na jazdę nocą.

Moja klacz wypoczywała całą noc, leżała długo, jakby przeczuwając, że to był ostatni nocleg w wygodniejszej stajni, przypadający jej w udziale. O kwadrans na piątą wyjechałem z podwórza przez miasto i most ku tej samej bramie, przez którą poprzedniego dnia wieczorem wjeżdżałem do miasta, i po za którą drogi rozdzielają się w jedną stronę ku Piacenza, w drugą do Spezii przez Sarzana. Skierowałem się na lewo ku Collechio, jechałem kłusa po równej, dobrej drodze do Fornovo di Taro. Tu odpoczywałem trzy kwadranse, to jest do w pół do ósmej godziny. Klacz napoiłem, napasłem i sam zjadłem śniadanie. Osobliwy widok przedstawia tu rzeka Taro, którą w tej porze roku raczej strumykiem nazwać by należało. Jednak na wiosnę, gdy śniegi topnieją, lub po deszczach, strumyk ten zamienia się w poważną rzekę i straszne wyrządza szkody i spustoszenia na swym przebiegu. Tuż za rzeką odbywały się na polu ćwiczenia i strzelania do celu, 21-go Parmeńskiego pułku piechoty, którego namioty rozciągały się na długiej przestrzeni wzdłuż gościńca. Po za Fornovo gościniec wznosi się krętą wężownicą ku północnej pochyłości Apeninów, niekiedy tylko dotykając zamieszkałych miejscowości, co wielce nam dokuczyło, bo rzadko gdzie mogliśmy zaczerpnąć wody dla ugaszenia dokuczliwego pragnienia. Słońce literalnie paliło, na szczęście mogłem zasłonić oczy specyalnemi okularami, chroniącemi od żaru promieni słonecznych.

Bardzo powoli posuwaliśmy się naprzód, często zatrzymując się dla wytchnienia pod cieniem karłowatego drzewka lub krzaczka. Im bardziej się wznosiliśmy ku szczytowi góry, tem więcej było pusto, tem mniej by ło drzew i roślinności, jak oko dosięgnie same tylko skały widać było. W niektórych miejscach ze skał wytryskiwała woda, którą z radością pokrzepialiśmy się i koń i jeździec.

Zupełnie inne miałem wyobrażenie o Apeninach, które pamiętałem tylko z przejazdu koleą żelazną z Medyolanu do Genui. Tam napotykało się lasy, wsie i miasta, w których, oceniając je z gwaru i życia ludności, łatwo można było znaleźć odpowiednie wytchnienie i pożywienie w podróży. Lecz tu było zupełnie odmiennie, i nic prócz olbrzymich skał, ani śladu człowieka, ani głosu lub brzmienia, zdradzającego obecność żyjącego stworzenia, aż... nareszcie ku wielkiema mojemu zdziwieniu usłyszałem — śpiew słowika, którego najmniej spodziewałem się tu zastać. Jeszcze kilka razy napotkałem źródło, wówczas wyjmowałem z mantelzaka gąbkę i zaczerpnąwszy obficie wody, wyciskałem na kłąb klaczy, obmywałem jej czoło, nogi, obawiając się dla biednego konia mojego porażenia słonecznego. Przy każdej zdarzonej sposobności klacz poiłem i sam piłem, albowiem upał dokuczał straszliwie.

Gdy później doszliśmy wyżej, nie napotykałem już źródeł, a gdy niekiedy w rowie przydrożnym trafiałem na trochę stojącej wody, wielką mi to radość sprawiało, że mogłem zmoczywszy w niej gąbkę, sobie twarz i czoło, a klaczy nozdrza choć zwilżyć. Wkrótce przyłączył się do nas niemiły towarzysz podróży — głód. Klacz skubała trawkę nad rowem przy gościńcu rosnącą, lecz ja sam nie miałem z sobą żadnego pożywienia, nie zaopatrzywszy się i sądząc, że w drodze wszędzie dostanę wszystkiego, coby mi było niezbędne. Dziwiło mnie niepomiernie, że nie doszedłem jeszcze do szczytu góry. Mogło tego przyczyną być to, że moja mapa, której skala była 1/500.000, nie wskazywała ani jednej dokładnej drogi, przez co znów miałem sposobność się przekonać, iż długość tej drogi znacznie była większa, niż przypuszczałem. Jako kompensatę w przykrej

---

np. hr. Juliusz Dzieduszycki, syn stepów polskich, pan milionowej fortuny, wychowaniec zachodniej kultury,—*le premier éleveur de mon empire*, jak go cesarz Franciszek Józef nazwał, pokazywał w jarczowieckich stajniach swego „Azeta", „Feruch-Hana," „El-Delemiego", swoją „Saharę", „Mlechę", „Gazellę", „Ślepkę" i inne;—kiedy to nasz późniejszy polski Vernet, Juliusz Kossak, młodą naówczas jeszcze ręką, najpiękniejsze z nich udatnie szkicował, a Wincenty Pol takie śliczne do tych koni układał rymy; — kiedy to z kopalni Kaukazu przybyły ks. Roman Sanguszko, o wspaniałej rycerskiej postawie, wprawnem okiem znawcy, krytyka i lubownika śledził u każdego konia ruch każdy, — kiedy to wreszcie towarzysz zabaw dziecinnych, a później i broni, typowy Nereusz Horowski, częsty gość i przyjaciel jarczowieckiego domu, krwawe przejścia i przebyte ciężkie wojenne czasy rzewnym wierszem smętnie wspominał, lub też uderzając o inną, weselszą strunę, lekkim i udatnym rymem niejedno z lat młodych, dowcipnie na pamięć przywodził...

I czuli wtedy wspólne serca bicie,
I czuli w sobie dawną wielkość duszy,
Bo niejedną chwilę tak wspólnie przeżyli,
Jak przodkowie nasi niegdyś całe życie...

Gdyby na nas nie czekała dalsza jeszcze podróż i to teraz —już na Ukrainę, bylibyśmy chętnie jeszcze dłużej pozostali w tych ślicznych Antoniniach, gdzie nam tak dobrze było, — ale czas bardzo ograniczony, jak niemniej powierzona nam przez Komitet urzędowa czynność, upomniały się o swoje prawa!

Żegnamy więc przedewszystkiem p. radcę Śliwińskiego i p. dyrektora Sokolnickiego, dziękując tym panom serdecznie za ich nadzwyczajną uprzejmość i grzeczność; żegnamy stajennych, służbę i konie, nawet na pożegnanie podaje nam potężną łapę poczciwy Mamoo, który koniecznie z nami w podróż się wybierał—i wsiadamy do wygodnego, półkrytego powozu, wysłanego miękkiemi jak puch baranicami. Zabrzmiały grzechotki i dzwonki na koniach orczykowych, a czwórka dzielnych rozgonnych karoszów, zaprzężona w poręcz, ruszyła wyciągniętym kłusem z pałacowego dziedzińca wspaniałej antonińskiej rezydencyi. Minęliśmy wieś, zwrócili za nią na prawo, przejechali rzeczkę Ikopetę, w której wtedy ryby masami łowiono i wjechali na szeroki trakt, prowadzący do Szepetówki, o 58 wiorst od Antonin odległej.

i męczącej podróży ujrzałem prawdziwie czarujący widok na daleką dolinę Lombardzką; przyczyniło się to po części do pokrzepienia mojego już upadającego ducha, i dopomogło do utrzymania się w jakiej takiej trzeźwości i przytomności umysłu. Wkrótce spostrzegłem, że droga prowadziła z pewnym spadkiem, było to zaraz po przejściu przez Monte Cassio i Monte-Marino. Zsiadłem z konia i odtąd ostrożnie klacz prowadziłem, bo było dużo luźnych kamieni na drodze, o które łatwo klacz potknąć się mogła.

Nareszcie doszliśmy do Berceto o 11-ej godzinie. Nie udałem się do środka miasta i stanąłem przed Albergo Poggio, na górze przy gościńcu. Zastałem tam nędzną stajnię, do której musiałem klacz wprowadzić, jadła siano i mąkę „brüsca" z wielkim apetytem. Ja posiliłem się bardzo smacznym obiadem, a szklanka dobrego wina tak cudownie pokrzepiła moje siły, iż zaniechałem nawet przespania się po obiedzie, uważając drzemkę za zbyteczną. Odpoczywałem jednak niedługo bo postanowiłem stanowczo przed nocą stanąć w Sarzana.

Wyjechałem z Berceto o godzinie 1-ej, w czasie największego skwaru południowego. Jechałem kłusa do La Cisa, jestto wąwóz pomiędzy skałami, najwyższy punkt w Apeninach. Droga przedemną bardzo nieznacznie się wznosiła, i dochodziła 1,041 metrów nad poziomem morza.

Niezadługo gościniec skręca w bok prawie pod kątem prostym; spotkałem tu towarzystwo turystów ośm czy dziesięć osób, jadących na osłach, byli to przeważnie księża z poblizkiego tu klasztoru San-Montelûngo, udający się na wycieczkę w góry. Dookoła ze wszystkich stron gromadziły się chmury, które spowodowały burzę w kierunku Spezii. Później się wypogodziło, a gdy zjeżdżałem po pochyłości Apeninów, słońce dokuczało mi prawie więcej niż rano, gdy dążyłem ku górze. Po za skalistym zaułkiem ujrzałem przepyszną panoramę, widok ku południowi, do morza jednak nie dosięgał, bo różne skały i wzgórki zasłaniały dalszy widnokrąg. Znów musiałem pieszo klacz prowadzić, gdyż przy takiej spadzistości drogi o jeździe i myśleć nie było można. Klacz stąpała tak pewno, że pomimo luźnych kamieni na gościńcu, nie potrzebowałem cugli trzymać, klacz sama szła za mną. Czułem się tak zmęczony, iż często wpadałem w rodzaj półsenności, z której się budziłem w chwili, gdy blizki byłem padnięcia przed siebie. Na całej tej części drogi napotkałem tylko jedną austeryę, w której choć pragnienie mogłem ugasić. Po czterogodzinnej uciążliwej drodze dotarłem nareszcie o godzinie 6-ej do Pontrémoli i zatrzymałem się przed oberżą. Byłem zmuszony moją klacz powierzyć oberżyście, polecając mu zwykłe i niezbędne jej potrzeby ściśle i akuratnie zaspokoić. Tak nadmiernie byłem zmęczony, że wcale nie mogłem jeść, lecz za to wypiłem kilka szklanek zimnej z lodu lemoniady, czem niestety, bardzo sobie zaszkodziłem. Wogóle doszedłem do przekonania, iż w czasie tego raidu, z powodu strasznego gorąca, o wiele więcej dokuczyło mi pragnienie, aniżeli głód. Nie okazywałem żadnej obawy ani wstrętu do picia każdej wody, choćby lodowatej temperatury, lub też wody z rowu — nawet cuchnącej, albowiem wolałem narazić się na chorobę żołądka, aniżeli na skutki porażenia słonecznego. Zamówiwszy dla siebie i konia nocleg wysłanym do Sarzana telegramem, wyruszyłem o wpół do siódmej z Pontrémoli. Droga tu już mniej była pochyła, a lasek kasztanowy osłaniał trochę od promieni słonecznych. Lecz nawet po zachodzie słońca jeszcze było parno, a w wązkiej dolinie Marga, do której właśnie wjeżdżałem, nie odczuwało się żadnego powiewu wiatru.

Zapadający mrok tak ujemnie oddziaływał na moje nerwy, iż z trudnością tylko mogłem oczy trzymać otwarte; a tu właśnie niezbędną była z mej strony bystra i ciągła uwaga, bo klacz była zmęczona, stąpała mniej pewno, a droga stawała się coraz gorszą. Zsiadłem znów z konia i prowadziłem, chcąc tym sposobem ulżyć klaczy, a także dla łatwiejszego uchronienia się od senności. Od Sarzany dzieliła nas jeszcze przestrzeń 56-kilometrowa, a było już po wpół do siódmej wieczorem. Wkrótce poczułem, iż zasypiam idąc, usiadłem na konia i pomimo nierównej, złej drogi puściłem klacz kłusa. Przekonałem się, że jadąc kłusa kilka razy zasypiałem. Uczułem dotkliwy ból z tyłu głowy i w karku, a w chwilach przebudzenia, gdy odzyskiwałem przytomność, widziałem przed sobą jakieś marzydła, straszliwe postacie, które wydobywały się jakby z pośród konarów drzew przydrożnych — urągały mi, jakby koniecznie mnie zatrzymując w raidzie. Była to straszna chwila, w której nie widziałem dla siebie żadnego ratunku. Dla uwolnienia się od sennej tej zmory, próbowałem śpiewać, gwizdać, krzyczeć, nawet najgłośniej, rozmawiałem sam z sobą, chcąc tym sposobem gwałtem zmusić się do przytomności umysłu, nic nie pomogło, a sen brał przewagę nad moją najsilniejszą wo-

---

I te pola i nieprzejrzane obszary i łany i te łąki i jary i te zdala długimi czarnymi pasami widniejące lasy,—w zachwyt mnie wprowadzały! Cały dziwnie poważny, ciemny krajobraz, jak gdyby malarz-artysta użył do niego wyłącznie barw: *noire de pèche*, *vert émeraude* i *sepii*, wydał mi się dziwnie uroczystym, szerokim i wielkim, a oczom moim, przyzwyczajonym do małych i przeważnie piaszczystych, z natury ubogich pól wielkopolskich, do tych ciasnych, wązkich, bitych dróg tamtejszych, — przestronny, wspaniały, czarny wołyński trakt z Antonin do Szepetówki, przedstawił się jako obraz zupełnie nieznany.

Przez cokolwiek mgliste powietrze, kołysane lekkim powiewem wiatru, widać było obszerną płaszczyznę, tonącą w ciemnawych i ponurych chmurach szerokiego widnokręgu; jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego drzewa i żadnej nieomal wioski, tylko gdzieś w dali, tam, gdzie słońce miało zachodzić, ciągnął się na dalekim horyzoncie długi, czarny pas ogromnych antonińskich lasów. Wysokie, zczerniałe badyle ostów, bodziaków i łobody, stały posępnie, mrozem już zwarzone, na miedzach obszernych łanów, z których jedne pokryte były brunatno-zieloną runią pszenicy, inne zorane, uciekały od drogi gdzieś bardzo daleko długimi pasami urodzajnego czarnoziemu, lub znaczyły się ciemno-żółtem ścierniskiem, po zebranem zbożu.

Te ogromne czarne obszary, przez które jedzie się milami, te okiem niezmierzone ciemne pola i łany, te łąki, stawy, jary i lasy, należą do porozrzucanych wsi i folwarków, przez które się czasem przejeżdża po drodze, a znak „Pilawy" na typowych bramach wjazdowych, wskazuje, że panem tego wszystkiego jest hr. Potocki.

W chwili, w której to piszę, wieczorny „Czas" krakowski podał do wiadomości bardzo przykry wypadek, który się przytrafił w d. 21 lutego b. r. na polowaniu w Nieświeżu. Polowano tam na dziki w dawigrodzkich lasach, a hr. Józef Potocki, właściciel antonińskich dóbr, postrzeliwszy odyńca, zeszedł ze swego stanowiska, aby pójść w knieję za rannym zwierzem; nieostrożność tę drogo opłacił, bo fatalność chciała, że w tej samej chwili strzelił ks. A. Radziwiłł, a kula z dużego expres'u zmiażdżyła u lewej nogi kość powyżej kolana hr. Potockiemu, który tyle razy polował w dżunglach indyjskich i afrykańskich puszczach na lwy, tygrysy i słonie — bez żadnego wypadku. (*D. c. n.*)

lą. Później — w Rzymie, objaśnił mnie lekarz, że ten najwyższy stopień zmęczenia był spowodowany anemią mózgu, skutkiem której w następstwie dostałem gorączki. Jak długo jechałem w takim stanie półprzytomności — nie wiem, lecz nagle obudziłem się w chwili, kiedy klacz potknąwszy się, padła razem ze mną, zerwałem cugle i jeszcze skutecznie zapobiegłem przekoziołkowaniu się klaczy przez łeb. Chwila, w której klacz padła na kolana, trwała mgnienie oka, zerwała się natychmiast. Zeskoczyłem z siodła, chcąc zobaczyć, czy w upadku tym nie poniosła jakiej szkody. Lewe kolano było lekko draśnięte, prawe daleko poważniej było zranione, jednak na szczęście rana dotknęła bocznej wewnętrznej ściany kolana, a nie frontowej, co byłoby o wiele niebezpieczniejsze.

Chwilowe przerażenie, jakiego doznałem, a które, być może, zbawienny wpływ wywarło na mój stan zdrowia, uwolniło mnie od wszelkich śladów zmęczenia i senności. W pierwszej chwili po tym wypadku byłem przekonany, że straciłem wszelką nadzieję doprowadzenia raidu do pomyślnego rezultatu. Rany na kolanach wprawdzie mocno krwawiły, lecz gdy spróbowałem klacz przeprowadzić, zauważyłem, że wcale nie kulała. Sięgnąłem wię zaraz do mantelzaka po bandaże i watę opatrunkową, i opatrzywszy rany, obandażowałem kolana, a na wierzch przypiąłem kolanowe kamaszki. Poczem zaraz ruszyłem dalej prowadząc klacz za sobą, aż do Villafranca. Tu w mieście stanąłem przed apteką i powtórnie rany przemyłem wodą karbolową i zasypałem jodoformem, i obłożywszy watą zabandażowałem.

Księżyc świecił dość jasno, nareszcie i powietrze się ochłodziło, a że droga przed nami prowadziła z nieznacznym spadkiem, zarezykowałem więc wsiąść na konia, jechałem wolnego kłusa, unikając unoszenia się na strzemionach. Wielce się cieszyłem tem, że klacz nie okazywała żadnej, choćby najmniejszej nieprawidłowości chodu. Obawiałem się jednak, że nazajutrz kulawizna wystąpić nie omieszka. Nagle zrobiło mi się nie dobrze, i nie wiem, czy to skutkiem wstrząśnień jazdą kłusa bez unoszenia się na strzemionach, czy też po wypiciu zimnej mrożonej lemoniady na zupełnie czczy żołądek, do tego stopnia mi zaszkodziło, że doznałem najpierw strasznych boleści, potem było mi lepiej i ból głowy zupełnie ustąpił.

Przejeżdżałem po tem przy cudownem oświetleniu księżyca przez obszerną dolinę, pośród stromych skał, pod wysokiemi, cienistemi drzewami. Z prawej strony w głębi słychać było szmer pieniących się po kamienistych brzegach fal rzeki Marga. Na całej tej przestrzeni znów nie spotkałem żadnej ludzkiej istoty, a w przejeździe przez wsie Terra Rossa, Aubla i San-Stefano nawet wody do picia nie mogłem dostać. Wkrótce po za San-Stefano wjechałem w równinę, a wreszcie o 12-ej w nocy stanąłem w Sarzana.

Odległość z Parmy do Sarzana jeszcze przed wyjazdem z domu oceniłem na 109 kilometrów, a w rzeczywistości odległość ta wynosiła 131.4 kilometrów, które w najtrudniejszych warunkach, tak pod względem atmosfery, jak i właściwości drogi i niedostających pierwszych potrzeb do życia — odbyłem w 16 godzin i minut 15. Z trudnością odszukałem zajazd, w którym z Pontrémoli telegramem zamówiłem był nocleg. Musiałem przejeżdżać przez kilka ulic, chcąc dostać się do stajni, raczej długiej stodoły, potem długo czekałem zanim odszukano i obudzono człowieka, który mi stajnię otworzył i mojej klaczy usłużył, albowiem o tak późnej porze już mnie się nie spodziewali. Po przemyciu ran na obu kolanach klaczy, opatrzeniu i obandażowaniu ich, gdy klacz już była napojona i przekonałem się, iż na niczem jej niezbywa, jadła bowiem siano i bruscę, udałem się do hotelu. Tu miałem przykrą niespodziankę, powiedziano mi bowiem, że wszystkie numera w hotelu zajęte, że nie mogą mi zaproponować innego noclegu, jak na podłodze w jadalnej sali na materacu rozpostartym na ziemi. Mnie było już obojętnem, gdzie spać miałem, tak byłem zmęczony, że również chętnie na ziemi, na kamieniach, nawet pod gołem niebem spać mogłem, jak na najwygodniejszem łóżku.

Pozostałem więc w hotelu. Jadłem nie wiele, bo wcale nie miałem apetytu, lecz za to wypiłem kilka filiżanek czarnej kawy, a gdy się udałem na spoczynek, była już godzina 2-ga po północy, ledwo się położyłem — zaraz zasnąłem. (*D. c. n.*)

Stado księcia Witolda Czartoryskiego
w PEŁKINIACH.

Historya tego stada nie jest długa, bo zaledwie kilkunastu lat sięga, a przecież stanęło już ono na tej wyżynie, że może posłużyć za przykład, do czego można dojść przy dobrych chęciach i znajomości rzeczy w tak krótkim stosunkowo czasie.

Chów rozpoczęto w roku 1886, początkowo w kierunku czysto roboczym, 22 klaczy kryto ogierem pół krwi arabskim „Tatarem," ponieważ jednak konie okazały się nieodpowiednie, sprzedano go, jak również jego progeniturę.

W r. 1888 sprowadzono z Olchowiec ogiera „Dahomana" nr. 172 (radowiecki). Stanowił dwa lata. Dał klacz „Cudną," która odznaczywszy się u księcia Witolda pod siodłem, weszła do stada, jako dziewięcioletnia zupełnie czysta i bez wad.

W r. 1890 wzięto z Olchowiec ogiera karego Dahomana nr. 322 (radowiecki). Odnaczał się dobremi chodami, wierzch miał bardzo piękny, lecz był za wysoki na nogach i szczupły w żebrach. Jego potomstwo traciło wcześnie nogi. Stanowił trzy lata i do chowu nic po nim nie pozostawiono.

W r. 1892 kupiono w Jezupolu ogiera 4-letniego „Hadudy" pełnej krwi arabskiej, różowo białego i dwie dwuletnie pełnej krwi arabki „Saharę" i „Paraszkę," i od nich to rozpoczęto chów prawdziwie arabski.

W 1894 r. kupiono w Białej Cerkwi trzy klacze arabskie i w Niesłuchowie gniadą „Kitkę Białonóżkę" z Jarczowic.

Wszystkie cztery stanowią czoło stajni.

W 1896 r. przybywa pierwsza matka po Hadudym różowo-biała „Gondola."

W 1897 r. druga „Huczna" po Hadudym od Branki, klaczy stada Bałtowskiego. W tym samym roku kupiono w Taurowie cztery klacze pełnej krwi arabskiej, siwą „Nelsonkę," siwą „Kokietkę," siwą „Maruchę" i szpakowatą „Ładną," oraz „Gazellę", klacz ze stada p. Cieńskiego. Pokryto je Hadudym.

W r. 1898 kupiono w Sławucie cztery klacze pełnej krwi arabskiej, źrebne z celnemi sławuckimi ogierami: Dahobiję, Nadzieję, Terapię i Rewanżę. W tymże roku pokrywano lepsze klacze Hadudym, a gorsze Mohortem po Faraonie od Perły sławuckiej. Skaro-gniady z łysiną i nogami po pęciny białymi, wygląd ordynarny, głowa za duża, szyja mała, w żebrach za szczupły. Po Hadudym pierwsza warstwa była niezbyt dobra, następne lepsze. Odznaczają się one piękną budową i dobrymi chodami. Są wszystkie różowo-siwe pomimo, że Hadudy był kasztanowaty.

27 kwietnia 1898 r. kupiono w Weil w stadzie króla wirtembergskiego 3-letniego ogiera pełnej krwi arabskiej „Anwila" bardzo typowego, maści ciemnosiwej, za 7,750 marek.

W tymże roku kupiono w Taurowie cztery klacze: 21 lat liczącą „Bonę" źrebną z Attykiem, perłę stada „Huczną" i dwie „Celiny."

W r. 1899 Anwil pokrył 23 klacze.

W tymże roku założono stadninę koni huculskich. Kupiono dwie pewne huculki i ogiera „Cygana.”

W roku 1900 dokupiono w Ziabieni jeszcze cztery huculki, z tych trzy bardzo typowe. Przeprowadzono również wszystkie klacze arabskie z Piwody do Gełkiń, gdzie odtąd stoją klacze i ogiery.

Źrebięta po Anwilu rozwijają się bardzo normalnie.

Mają może trochę za mało szyi, co do budowy jednak nie pozostawiają nic do życzenia.

Obecnie stado posiada jednego ogiera i czternaście klaczy pełnej krwi arabów, oraz jedną klacz nieudowodnionego pochodzenia, tak jednak typową, że trudno jej tu nie zaliczyć.

Anwil urodzony 1895 r. w Weil, w stadzie króla wirtembergskiego, tamże wychowany po Padyszachu (or. ar.) od Anusa, po Djerid (or. ar.) od Goa IV, po Tajar od Boa III, po Hadbar (or. ar.) od Goa III po Amurath (po Bajraktar, or. ar.) od Goa II po Chaban (or. ar.) od Elkanda I import. w łonie matki Hassfouru z Arabii. Szpakowaty, miary 15.5. Nadzwyczaj piękny i szlachetny. Głowa i szyja charakterystyczne. Kłąb wydatny. Partye grzbietowe w stosunku do spodu krótkie. Zad wspaniały. Odsada ogona dobra. Nogi muskularne i suche, stawy wydatne. Piszczel krótki i płaski. Przednie kopyta trochę krzywe. Wogóle robi wrażenie bardzo dobrego konia, zdolnego stado w Pełkiniach postawić bardzo wysoko.

Oprócz Anwila znajduje się jeszcze w Pełkiniach parę ogierów, których jednak nie wspominam, gdyż nie są pełnej krwi arabami, i służą do stanowienia klaczy roboczych lub huculskich.

Przejdę teraz pokrótce klacze stadne:

Rewanża, ur. w 1876 r. w Sławucie po Ezrak Seglawi (or. ar.) od Kalifornii, po Czutym od Fryi, po Szems (or. ar.) od Żaby, po Abukle (or. ar.) od Klimówka.

Biała. Miary 15. Bardzo normalna, ale mniej szlachetna.

Bona, ur. 1878 r. w Jarchowcach po El Delemi (Babolna) od Bona, po Bagdad (or. ar.) od Perkula, po Kohejlan (or. ar.) od Gazella, sprow. z pustyni.

Biała z czarną skórą. Miary 15. Nadzwyczaj szlachetna.

Terapia, ur. 1878 r. w Sławucie po Inżynier od Hobówna po Emir Beszir od Długa, po Obejan (or. ar.) od Sierota po Babylon od Ostrowska.

Biała. Miary 15,1. Przedstawia doskonale typ koni sławuckich.

Guzella, ur. 1882 r. w Jarczowcach po Hindostan (Sławuta) od Gazella po El Delemi (Babolna) od Gazella po Abiut (or. ar.) Gazella sprow. z pustyni.

Skaro-gniada. Miary 15. Nadzwyczaj sucha.

Dohabija, ur. 1884 w Sławucie po Obejan (or. ar.) od Platyna po Fortunio od Kruchta, po Neżdy od Akra po Struś od Zelida.

Kasztanowata. Miary 15. Mniej dobra. Za słaby przód w stosunku do zadu.

Kitka Białonóżka, ur. 1885 r. w Niesłuchowie, po Siglawi od Kitka, po Dahoman (fam. Sahara) od Kitka po Bagdad (or. ar.).

Gniada. Miary 15. Bardzo piękna.

Marucha, ur. 1887 r. w Taurowie po Hafiz nr. 387 od Marucha po Mahomet (po Mahomet, or. ar.) od Marucha, po Sehagya (po Bagdad, or. ar.) od Marucha.

Biała. Miary 14.3. Za gruba i za krótka szyja. Zresztą bardzo dobra.

Mlecha, ur. w 1889 r. w Taurowie po Hafiz ur. 387 od Mlecha, po Bosak (Sławuta) od Mlecha, po El Delemi (Babolna) od Rozmaarus po Elit (or. ar.) od Mlecha sprow. z pustyni.

Biała. Miary 14.1. Charakterystyczne czarne znaki na kłębie. Ma za cienkie piszczele, które się jednak nie dziedziczą. Zad za krótki.

Paraszka, ur. 1889 r. w Jezupolu po El Kebir od Donia, po El Delemi (Babolna) od Paraszka, po Malta (ar. ar.) od Gazella sprow. z pustyni.

Biała, skóra czarna. Miary 14.2. Bardzo typowa.

Sahara, po Kalif od Mołodycia, po Hadudy (Babolna) od Kitka, po Bagdad (or. ar.) od Sahara Ślepka, import. w łonie matki Sahary z pustyni.

Biała, skóra czarna. Miary 14.2. Przód znakomity.

Celina, ur. 1897 r. w Piwodzie, po Mohort od Celina, po Dahoman IV nr. 8 od Celina, po Obejan (or. ar.) od Celina, po Step (po Kohejlan, or. ar.) od Celina, po Presse Papier (po Bagdad, or. ar) od Tetis po Achmet (o. ar.) od Tetis.

Ciemno-gniada łysa, cztery nogi do pęcin białe. Miary 14.3. Bardzo piękna.

Hersa, ur. 1891 r. w Stawiszczach, po Husar (or. ar.) od Rebeka, po Ramzes od Bigotka, po Bolero od Rusałka, po Mahomet od Milona, po Welocyped od Julia, po Rulet od Zuszika, po Muzułman od Dorysa, po Osman od Meruga II, po Czerkies od Meruga I.

Kasztanowata. Miary 14.2.

Ładna, ur. 1892 r. w Taurowie, po Sheraky (Weil) od Ładna, po Dahoman IV nr. 8 od Ładna, po Step (po Kohejlan, or. ar.) od Ładna, po Presse Papier (po Bagdad, or. ar.) od Tetis, po Achmet (or. ar.) od Tetis.

Szpakowata. Miary 14.2. Bardzo normalna, ale mniej szlachetna.

Kolęda, ur. 1890 r. nieudowodnionego pochodzenia. Biała. Miary 14.3. Ma wszystkie cechy typowego araba.

Klacze i ogiery stoją wszystkie w Pełkiniach, dokąd je, jak wyżej wspominałem, przeprowadzono z Piwody. Klacze wszystkie są umieszczone w obszernej stajni, niewiązane. Niema w nich tej jednolitości, która w innych stadninach, mających dziesiątki lub nawet setki lat istnienia, każe nam na pierwszy rzut oka odgadnąć pochodzenie konia, jest jednak w każdym z jej osobników ten typ, który sam za siebie mówi, że jest arabskim. Prócz tego, wszystkie są bardzo starannie i ze znajomością rzeczy dobierane. Pomimo wieku, gdyż wszystkie prawie są stare, nie zauważyłem żadnych narośli, ani też zgrubień. Nogi mają tak suche, że każde ścięgno łatwo się wyczuć daje. Maść przeważa biała i u paru czarna charakterystyczna skóra. Wzrost niewielki — bo zaledwie dochodzi 15-ej miary, co jednak jest dla arabów normalne. Zastanowiło mnie to, że prawie nie ma dotąd pomiędzy klaczami stadnymi koni swojego chowu. Sprawę tę wytłumaczył mi p. Marczyński, administrator dóbr ks. Czartoryskich, który się równocześnie z całem zamiłowaniem prowadzeniem stada zajmuje. Otóż w Pełkiniach nie bierze się klaczy do stada, zanim nie odbędzie kilkuletniej próby w jukerach pałacowych, lub w fornalce i dobrze jej nie wytrzyma. Takie forsowne próby dają niejako pewność otrzymania dobrego przychówku po tak wypróbowanych klaczach. Nigdy nie powinno się, zdaniem p. Marczyńskiego, zostawiać matek, ani dla ich idealnej piękności, ani dla ich pochodzenia, jeżeli nie okażą się wytrzymałemi w użytku. Mniej należy zwracać uwagę na budowę proporcyonalną, choć i to jest ważne, ale dające się w przyszłości przez dobór ogiera poprawić, a więcej na muskulaturę i siłę. Co się tyczy żywienia klaczy, to nie jest ono zbyt intensywne, odpowiada jednak w zupełności normom. Owies dostają tylko w peryodzie karmienia i to po 3 kg. na dzień i sztukę, pozatem w zimie dostają siano, a w lecie pastwisko. Przy tem żywieniu wcale nieźle wyglądają.

Źrebięta stoją w Piwodzie, folwarku o dwie mile od Pełkiń odległym. Stoją w obszernej i bardzo wygodnej stajni po parę w oddzielnych klatkach. Niema w nich tak samo, jak i u klaczy jednolitości, indywidual-

nie są jednak wprost znakomite. Skład, muszkulatura, suchość, połączone z pięknością i lekkością nie pozostawiają nic do życzenia.

Z trzyletnich wyróżniają się:

Mimoza po Kedywie od Mlechy, szpakowata i

Mitra po Altyk od Bony, szpakowata.

I z dwuletnich, przecudownie piękny, kasztanowaty ogierek *Nart* po Anwil od Hersy.

Wogóle młodzież jest chowana surowo. Co dzień bez względu na to, czy zima, czy lato, czy deszcz, śnieg, wiatr, czy też pogoda, bywa przeganiana na ogrodzonym torze kłusem i galopem, gdzie musi przebiedz co najmniej 8 kilometrów. Żywiona przytem nie jest bardzo obficie, gdyż począwszy od drugiego roku nie dostaje nic, prócz pastwiska i słomy w lecie, a siana w zimie. Zasadą jest w stadzie pełkińskiem hartowanie i nieprzekarmianie młodzieży, gdyż przy zbyt intensywnem karmieniu, konie arabskie tracą swoją suchość i lekkość. Zeszłej zimy zrobiono próbę, i trzymano młodzież cały rok na otwartem powietrzu. Przeznaczono na to pięć ogierków jednorocznych i około dwóch morgów ogrodu zrzadka zarośniętego drzewami. Postawiono szopę z cienkiego materyału, która ciągle była otwarta. W niej konie były karmione. Ogierki zimę przetrwały bardzo dobrze, rozwijały się normalnie i wyszły z tej próby zupełnie zdrowe. Przy takim systemie wychowu nie dość silny i nie dość zdrowy osobnik się nie utrzyma, a tylko zdrowe i energiczne konie go przetrzymają. Ztąd także zły ogier nie wyjdzie, gdyż nadzwyczaj ściślą przeprowadzają selekcyę, zanim źrebca ogierem pozostawią. Jeżeli są do tej pory jakie usterki, czego naturalnie trudno w świeżo utworzonem stadzie uniknąć, to je na pewne poprawi „Anwil," którego śmiało można zaliczyć do najlepszych reproduktorów arabskich w Galicyi, a którego produkta są wprost znakomite.

KORESPONDENCYA.

Moskwa, *14 lipca.*

Derby i nagroda Cesarska.

W sobotę mieliśmy czas prześliczny, od razu zrobiło się ciepło, jasno i uczuliśmy nareszcie, że jesteśmy w lecie. Wczoraj znów od rana zaczął padać deszcz, przed południem rozjaśniło się trochę i w mieszkańców Moskwy wstąpiła otucha, że uprzywilejowany dzień, dzień Derby, będzie udany, że piękne tualety i kapelusze nie będą narażone na zmoknięcie, że powrót z wyścigów nie będzie podobny do ucieczki rozbitego wojska. Tysiące zatem podążyły na Chodyński tor i od godziny 2-ej po południu toczyły się długim nieprzerwanym łańcuchem od Twerskiej rogatki przez aleje powozy, karety i dorożki najrozmaitszych kształtów i wzorów. Wiele powozów było szykownych i założonych zupełnie na wzór angielski, jednak większość uprzęży była narodowa i staroświeckie karety ciągnęły o długich ogonach kłusaki, którymi kierował pełen powagi tęgi woźnica, ubrany w gruby „armiak," powiększający jeszcze znacznie rozmiary jego talii. „Kuczer" powinien być masywny, gruby, jak żokej powinien być cienki i chudy. Co do jednokonnych dorożek, których snuła się nieprzeliczona liczba, to jedne „pierwszej klasy" na gumach, założone w wybrakowane, ale szybkie kłusaki pędziły raźno, obryzgując błotem do około zwyczajne *sałaty* o grubych, ale leniwych i bez chodów konikach, które posuwały się literalnie żółwim krokiem. Już to zwyczajne jednokonki moskiewskie mogą nauczyć cierpliwości. Dużo publiczności przenosiło tramwaje elektryczne, kursujące co kilka minut pomiędzy Twerską rogatką, a Piotrowskim parkiem. Tramwaje te zatrzymują się naprzeciwko szosy, należącej już do Towarzystwa Wyścigów Konnych i prowadzącej do trybun. Od przystanku tramwajów do trybun tylko spacer, nawet przyjemny, gdy jest pogoda.

Na nieszczęście o tę pogodę tak trudno. I jeżeli zapowiadała się zwodniczo w południe, to około 4-ej, przy parnem, bezwietrznem powietrzu, deszcz zaczął znów padać i padał z przerwami, stopniując swoją siłę do wieczora. Tor zatem był ciężki i z każdą godziną stawał się cięższy. Pomimo tak niepewnej pogody, jak już wspomnieliśmy, widzów napłynęło tysiące i wygląd wielkiej trybuny, szczelnie nabitej, był rzeczywiście bardzo malowniczy. Zbyteczne chyba dodawać, że wszystkie loże były zajęte i rysowały się w nich bardzo wytworne stroje pań. Członkowska trybuna była też wypełniona przeważnie wojskowymi, których dużo, szczególniej z pułku Grodzieńskich huzarów, przybyło i z Warszawy na dzień Derby. Oprócz pp. oficerów przybyli tu z Warszawy: p. A. Michalski, p. H. Bloch, Ksawery ks. Lubecki; był również obecny, od dłuższego czasu już tu bawiący, p. J. Niemcewicz. W loży specyalnej znajdowali się tylko jenerałowie i wyżsi oficerowie sztabowi. W tym czasie, co Derby, przypadł przyjazd do Petersburga króla włoskiego i okoliczność ta wpłynęła na to, że bardzo wysoko postawieni goście nie przybyli tym razem na tor wyścigowy.

Ale przejdźmy do samych wyścigów. Otóż zakulneie „Bravo le Sançy," po odbytym w piątek rano galopie, było przyjęte z prawdziwym smutkiem, przez tutejszą publiczność, zajmującą się wyścigami bardzo gorąco, jak już nie raz o tem wspominaliśmy. Publiczność lubi określonych i pewnych faworytów i za takiego bezwątpienia mógł uchodzić „Bravo le Sançy," przytem sernickie barwy cieszą się tutaj prawdziwą popularnością. Jednak gdy ten, niepobity w tym roku, szermierz ustąpił z drogi, podnosiły się wyraźnie szanse „No Rule'a" i nim się głównie zajmowano. Po za nim wyróżniano „Burłaka," „Teutonica," „Irona" z jego towarzyszem stajni „Dewizem," a najmniej zajmowano się „Sirdarem." Pomimo parokrotnych łatwych zwycięstw, odniesionych w ostatnich paru tygodniach na Kołomiaskim torze przez tego źrebca, nie dowierzano mu i nie bardzo się z nim liczono. „Sirdar" przyszedł zapóźno do Moskwy, żeby po paru cantrach, które tutaj zrobił, można było wyrokować o jego klasie.

Pole w Derby, wraz z leaderami, jak to już wiedzą czytelnicy „Jeźdźca i Myśliwego" z telegramów, składało się z trzynastu koni, a mianowicie współzawodniczyły: „Burłak" (Rütter) i „Chartum" (Mac-Farlane) p. S. Michajowskiego & C° „Iron" (Hamilton) i „Dewiz" (Hasako) puł. A. Łazarewa, „Teutonic" (C. Sloan) p. J. Reszkego, „Patapouf" (Vititoe) A. hr. Stenbok-Fermora, „Eskimos" (Kanbegow) p. M. Piechowskiego, „Forfektor" (Bołotow) W. bar. Szteingla, „Nord-Dar" (Mac-Manus) p. K. Nazarowa, „No Rule" (Peaggott) i „Lorne" (Palmer) p. M. Łazarewa, „Sirdar" (Mitchell) p. B. Wielogłowskiego i „Mademoiselle Edithe" (Neuman) p. S. Iljenki. Konie przed udaniem się do startu dwukrotnie przedefilowały przed trybunami, ale barwny ten korowód nie wywierał tego wrażenia, co w słoneczne dni, gdy na kolorowych kurtkach i na koniach odbijają się promienie słońca i nadają im połysk i blask.

Zaledwie konie wyrównały się u słupa na przestrzeni 2 w. 144 s., podjechał dorożką puł. Płatonow do gorącujących się szermierzy i wnet opuścił chorągiew. Konie w tej chwili były dosyć wyrównane, a jednak start nie był udany. Był tak szybki, że nie wszyscy żokeje zrozumieli go, nastąpiło pewne zawahanie się, na którem jedni stracili, a drudzy zyskali.

Najwięcej straciły na starcie „Patapouf" i „No Rule." „Patapouf" z miejsca rzucił się w bok ku baryerze, jakby chciał wyłamać w środek toru i w tem zarzuceniu się potrącił silnie „No Rule'a," który wybity ze swego *ruchu* (stride'u) stracił kilkanaście długości i dopiero u trybun zrównał się z plutonem. Gorzej było z „Patapoufem," zanim go żokej przytrzymał i zwrócił na właściwą drogę, stracił wszystkie szanse, jakie mógł posiadać i tylko gonił swoich przeciwników. Zyskały zaś na starcie „Sirdar" i „Lorne."

„Sirdar" ruszył śmiało naprzód i prowadził gonitwę, a „Lorne," wnet znalazł się przy nim i spełniając swoje zadanie leadera, wysunął się o jedną długość naprzód, forsując tempo. „Sirdar" cwałował z boku tuż za „Lornem," a za nim galopowały, „Iron," „Burłak," „Teutonic" i reszta zwartego pola, z goniącym za niem „Patapoufem." „No Rule" przed słupem na 1 w. 66 s. zaczął raptem, gwałtownie poprawiać swoje miejsce i przed ostatnim zakrętem był już blisko czołowych koni. Przed wyjściem na linję prostą „Lorne" był zupełnie skończony, jego miejsce zajmuje „Sirdar" i już wciąż przoduje, do samego słupa utrzymując pierwszeństwo i kończąc wyścig w 2 minuty $46^1/_2$ sekundy. „Burłak," bardzo energicznie pobudzany, dochodził do boku „Sirdara," jednak nie mógł się z nim zrównać i był drugi o pół długości. Trzeci o długość za drugim koniem stanął „Iron," czwarty był „No Rule," a za nim galopowały: „Mademoiselle Edithe" — i grupa złożona z „Dewiza," „Teutonica" i „Eskimosa." Zwycięstwo „Sirdara" wprowadziło publiczność w zdumienie. Jakaś cisza zaległa — dopiero po trochu nabierano przeświadczenia, że to już po „Derby" i że wygrał „Sirdar." To zdziwienie tutejszej publiczności jest tem więcej do pojęcia, że nawet ci, co widzieli „Sirdara" tej wiosny na Mokotowskim torze i pamiętają jego nieudany występ, oniemieli z podziwu. Wprawdzie w r. z. w wieku dwóch lat „Sirdar" dobrze się zapowiadał, ale widzieliśmy tyle koni jeszcze lepiej od niego zapowiadających się, które jednak nie mogły zdobyć nawet mniejszej, niż Derby nagrody. Pomimo wygrania przez „Sirdara" Derby, nie możemy jeszcze stanowczo określić jego klasy. Jest to koń dobry, nawet bardzo dobry, ale czy zupełnie czołowy? Wyborny drugi był przecież „Burłak," a nie można go uważać za konia pierwszej klasy.

Wyścig „No Rule'a" nie może być nazwany prawidłowym — był popchnięty, musiał doganiać, następnie nazbyt prędko przeszedł z końcowych na czołowe miejsca i w dodatku nie lubi on ciężkiego gruntu, po którym znów „Sirdar" szedł wybornie.

Stajnia uważa syna Réverenda i Sundew za konia zupełnie czołowego, tylko ma być nierównego charakteru i raz walczy, a innemi razy nie ma chęci do walki — musi mu się pomyślnie wyścig złożyć.

Bądź co bądź, „Sirdar" zerwał „błękitną wstęgę," jest derbistą i szczere powinszowania składamy na tem miejscu jego hodowcy L. bar. Kronenbergowi z powodu powodzenia źrebca, wychowanego w jego stadzie. L. bar. Kronenberga należy uważać za bardzo szczęśliwego hodowcę, nawet wyjątkowo szczęśliwego, albowiem od czasu zredukowania swego stada w Brzeziu do bardzo małych rozmiarów, po raz drugi wygrywa Derby: w 1896 r. wygrał je „Matadorem," a obecnie „Sirdarem." „Sundew," jeżeli się nie mylimy, była kupiona zagranicą, źrebna z „Reverendem."

Do szczęśliwych znów stajen, należy stajnia Łęczyńska, albowiem trzeba też szczęścia, żeby tak wytrawnie prowadzona stajnia, jak Borowieńska, *oddała* „Sirdara" (do niej pierwotnie był dany do treningu) i żeby ten oddany koń zamienił się w derbistę. Szczęśliwą też ma widocznie rękę amerykański, niedawno przybyły do Łęczyńskiej stajni, trener Keen. Od czasu jego przybycia konie wygrywają wyścig po wyścigu. Nie mniej, nie uwłaczając zupełnie wartości tego trenera, sądzimy, że konsekwentne i nie nazbyt gwałtowne przygotowanie na wiosnę łęczyńskich koni, wpływa teraz na ich powodzenie, a amerykański trener może dawać tylko jakby ostatnie pociągnięcie pędzlem.

Jak wiadomo, konie łęczyńskie z powodu żałoby, właściciela współzawodniczą pod barwami kierownika stajni p. B. Wielogłowskiego i żeton wysadzany brylantami, przeznaczony *dla właściciela*, został jemu wręczony przez wice-prezesa Towarzystwa p. D. Iłowajskiego.

W pieniądzach nagroda Derby wynosiła 42,350 rs. i ta bardzo poważna suma rozdzielała się na 34,233 rs., 5,000 rs. i 1000 rs. Hodowca zaś zwycięskiego konia otrzymuje premium 1,000 rs. i 5% z całej sumy, czyli 2,117 rs. Z honorowych przedmiotów, oprócz wzmiankowanego żetonu dla właściciela, hodowca otrzymuje takiż sam żeton wysadzany brylantami, a trener i żokej złote zegarki.

Nagroda Cesarska rozegrana została pomiędzy pięcioma końmi, a mianowicie mierzyły się: 4-let. „Prymak" (Mac-Farlane) p. S. Michajłowskiego & C°, 4-let. „Madame Ferrari" (Morgan) p. L. Grabowskiego, 4-let. „Giufa" (Vititoe) A. hr. Stenbok-Fermora, 5-let. „Smike" (Peaggot) p. M. Łazarewa i 4 let. „Sarcelle" (Mitchell) p. B. Wielogłowskiego. Dystans wyścigu o nagrodę Cesarską, wynoszącą 11,750 rs., jest czterowiorstowy.

Konie ruszyły ze startu dobrze wyrównane, gonitwę poprowadziła „Sarcelle," starając się uciec swym przeciwnikom. Za łęczyńską klaczą podążał z różnicą kilkunastu długości „Primak," tuż za nim galopowała „Madame Ferrari," a za nią w pewnych odstępach cwałowały „Smike" i „Giufa." Porządek ten gonitwy pozostał bez zmiany przez $2^1/_2$ w., dopiero przed końcem trzeciej wiorsty „Madame Ferrari" wyminęła „Prymaka" i na ostatnim zakręcie zrównała się z „Sarcelle," na prostą linię wyszła zaś pierwsza. „Prymak" wówczas zajął drugie miejsce. Kilka długości stanowiło różnicę pomiędzy klaczą i ogierem. W miarę jednak przebywanych sążni odległość ta malała. Obadwa konie były skończone, ale „Prymak" jeszcze lepiej się posuwał, niż klacz. Przed samym słupem, a właściwiej u samego słupa „Prymak" zrównał się z „Madame Ferrari" — i sędzia orzekł dead-heat—głowa w głowę.

Trzecie miejsce, ale nie blisko, zajął „Giufa," a za nim galopowały „Sarcelle" i „Smike," o którym już dawno wiemy, że po błocie zupełnie nie idzie. Tor zaś wczoraj był bardzo ciężki i 4 wiorsty drogi po takim terenie, mogą wyczerpać każdego konia. Wyścig rozstrzygnął się w 5 m. $3^3/_4$ sek.

Nagroda Cesarska, której wysokość już wzmiankowaliśmy, rozdzielała się na: 7,750 rs., 2,000 rs. i 500 rs., oprócz tego hodowca otrzymuje premium 1,000 rs. i złoty medal od Głównego Zarządu Stadnin Państwa wartości 200 rs. Dla właściciela zaś pierwszego konia dodaje się do nagrody puhar wartości 500 rs.

Rozumie się, że byłoby barbarzyństwem po tak ciężkim torze i surowym wyścigu powtarzać próbę pomiędzy „Madame Ferrari" i „Prymakiem." Doszło do porozumienia pomiędzy stajniami i pierwsza i druga nagroda, według prawa obowiązującego w takich razach, została rozdzielona pomiędzy dwa pierwsze konie. Dwa medale pamiątkowe mają być wydane ich hodowcom, a połowa puharu musi być spłacona przez jednego z właścicieli.

Wyścigi skończyły się późno — deszcz pod wieczór padał z coraz większą siłą i powrót tłumów z Chodyńskiego toru, przypominał rzeczywiście ucieczkę, — a najtrudniej było uciekać paniom, nieposiadającym własnych ekwipaży, w lekkich bucikach, unosząc kosztowne suknie i osłaniając się białą lub różową delikatną parasolką. Takim był powrót z Derby w 1902 r.

St. Wotowski.

„SIRDAR" 13, og. gn. ur. 1899 r. w stadzie L. bar. Kronenberga.

Sundew 13	Stillwater	Stockwater	Fairwater	Loup-garon 4 / Te Bloomer
			Stockwell 3	The Baron 24 / Pocahontas
		Cathedral 8	Stolen Moments	Meibourne 1 / Lady Elizabeth
			Newminster 8	Touchstone 14 / Bee's Wing
	Bend'Or 1	Rouge Rose	Ellen Horne	Redshank 15 / Delhi
			Thormanby 4	Melbourne 1 or Windhound 3 / Alice Hawthorn
		Doncaster 5	Marigold	Teddington 2 / Sister to Singapore
			Stockwell 3	The Baron 24 / Tocahontas
Revérend 17	Rêveuse	Rêverie	Praxis	Pédagogue 3 / Hopeless
			Marignan 4	Womersley 2 / Margaret
		Perplexe 26	Péripétie	Sting 22 / Péronnelle
			Vermouth 3	The Nabob 12 / Vermeille
	Energy 27	Cherry Duchess	Mirella	Gemma di Vergy 20 / Lady Roden
			The Duke 12	Stockwell 3 / Bay Celia
		Sterling 12	Whisper	Flatcatcher 3 / Silence
			Oxford 12	Y. Birdcather 11 / Honey Dear

Koń i łowiectwo.

Zajmujący artykuł umieszcza pod tym tytułem w jednem z niemieckich pism p. Zeitler-Mieming, który podajemy naszym czytelnikom.

Dzikiego konia znano już w czasach przedhistorycznych w epoce dyluwialnej i kości jego znajdowano obok kości mamuta, rhinocerosa, tura, żubra, rena i innych zwierząt. Podług zoologa Hehen'a dzikie konie napotykano jeszcze w 16-tym stuleciu w Wogezach; w stepach Azyi, w górach Afryki jeszcze dziegzystują. Co do użycia konia, jako zwierzęcia użytkowego, niema pewnych danych, kiedy to miało miejsce. Profesor Nehring na mocy badań przypisuje tę zasługę obłaskawienia konia ludom azyatyckim, choć jej nieodmawia i wpółdzikim szczepom germańskim. Na starych pomnikach egipskich widzi się podobiznę konia dopiero w 17-tym wieku przed Chrystusem. Posługiwano się nim do gonienia zwierza, gdy łuk i proca nie wystarczały; trwało to całe wieki, zanim właściwą hodowlę konia rozpoczęto.

I tak do czasów Karola Wielkiego (742 — 814) koń był jeszcze rzadkością w Europie; dopiero w 9-tem stuleciu po najściu Normanów zaczęto na większą skalę hodować konie wielkie i ciężkie dla rycerzy opancerzonych. Do polowania używano koni ścigłych, lekkich, o szczupłej budowie ciała. Zalety takiej budowy korpusu konia chwali już Nemessian w rasie kappadockiej, w której widzi ideał konia myśliwskiego: „Mają one wysoki kłąb, szeroki krzyż, szyję wygiętą, długą, piękną głową."

Arrilly zachwyca się scytyjską i aryjską rasą, dla wielkiej wytrzymałości tych koni.

Gratius jest zwolennikiem koni sycylijskich, jako dobrze wspinających się po górach.

Za panowania Henryka II w Anglii (1133—1189), miłośnika polowań z sokołem, uprawiano racyonalną hodowlę koni. Polowania z sokołem były w pełnym rozkwicie; młodzież arystokrastyczna współzawodniczyła w hodowli rumaków. To też ceny ich, jak na owe czasy, były ogromne. Za Henryka III dobry hunter kosztował 300 funtów szterl. (600 mar.). *Ryszard Lwie Serce* poprawił jeszcze rasę. Za panowania Edwarda III (1327 — 1377) urządzano wystawne łowy; rycerze sadzili się na to, by na jaknajlepszym koniu i w najozdobniejszym rynsztunku wystąpić. Kobiety nawet brały w owych czasach udział w polowaniach, rywalizując z mężczyznami, dojeżdżając i kłując oszczepem dziki.

Jak więc widzimy, zażywano konia do polowania z sokołem w 4-ym wieku po Chrystusie, do łowów z oszczepem mniej więcej od 7-go — 10-go stulecia, choć nie zaniedbywano także polowań z sokołem, które jeszcze w 15-ym stuleciu—ba i później, były w modzie, zwłaszcza w Polsce i w Rosyi.

W 17-ym stuleciu koń był już używany do polowań t. z. *„par-force."*

Dziś łowy te na grubszego zwierza są rzadkością. W Anglii, Rosyi dojeżdżają myśliwi lisy, zające, wilki, na Węgrzech szakale; natomiast w Azyi, Afryce i Australii polują myśliwi na gazele, strusie, antylopy, wilki i t. d. *tylko* z konia. Ale co to są za konie, jak wytrzymałe, by zgonić i zmęczyć antylopę lub strusia!

Najlepsze konie myśliwskie pochodzą z Irlandyi; nie są to konie pierwszoklasowe, ale arystokracya angielska i średniozamożni obywatele używają ich do polowania na lisy, zające, z sokołem na drapieżniki. Te konie są tak wytresowane, że choć myśliwy zsiądzie, czekają cierpliwie na jego powrót.

Dla strzelców zawodowych, leśników i t. d. nadają się konie powolniejsze, nie wielkie, grubopłaskie. Poleca się klacze i wałachy, bo ogiery rżeniem przed czasem płoszą zwierzynę. Konie te powinny być tak wytresowane, by przeszły lub przeskoczyły przez każdy rów, by nie obawiały się strzału — nawet z siodła.

Na zakończenie zaznacza słusznie autor tego artykułu, że dzisiejsi myśliwi, zamiast na koniu zwiedzać swe rewiry, posługują się bryczkami, lub co gorzej rowerem, co wstrętny dla prawdziwego myśliwego sprawia widok.

Za kulisami Corridy.

Pomimo całego okrucieństwa, barbarzyństwa, dzikości, walki byków mają swoich zwolenników i to nie tylko pomiędzy hiszpanami.

Pamiętam opowiadania polaków, będących świadkami tych rzezi, którzy twierdzili, że chociaż są one ohydne, jednak pociągają odwagą, zimną krwią matadora, odwagą bierną picadorów, siłą i zapalczywością byka. Nieopisany zaś entuzyazm, zapał tłumu, brawa, świsty i okrzyki na cześć torreadora lub byka, wprowadzają widza w rodzaj gorączki, oszołomienia. Zapomina się o cierpieniach zwierząt, rozlanej krwi, włóczących się po arenie, lub rozpłatanych koniach, a widzi się tylko walkę, podziwia się obronę byka i ostatecznie zwycięstwo nad nim człowieka.

Do tego zwycięstwa *espady* jest byk powoli przygotowywany stopniowem osłabieniem, wyczerpaniem. Zanim espada ukaże się na arenie, żeby się z nim spotkać oko w oko, przenosi on walki z konnemi picadorami, a chociaż wysadza ich z siodła, chociaż rozpruwa konie, ukłócia ich lanc podrażniły go, upuściły mu krwi, traci on siły na zabijaniu wynędzniałych koni i pastwieniu się nad niemi. Żeby byka odciągnąć od leżącego na ziemi, pod swym koniem picadora, uży-

wani są banderillos'i, zręczni, zwinni jak baletnicy, którzy odciągają byka, pokazując mu czerwone szmaty i zapuszczają mu w ciało jakby długie szpilki ze wstążkami—banderille. Wszystko to jest obmyślane w celu odpowiedniego przygotowania byka do przyjęcia ostatecznego ciosu i espada, jeżeli się naraża, to o wiele mniej, niż tłum przypuszczać może, rozumie się, do tej specyalności trzeba wielkiej wprawy, chociażby do zagłębienia szpady w odpowiednie miejsce, żeby módz od razu potężne zwierzę powalić na ziemię; lecz większą rolę odgrywa tu wprawa, niż bohaterstwo. Najwięcej narażeni są picadorzy, chociaż na nich, jako zapaśników niemal biernych, którzy muszą paść ze swojemi końmi na arenie, uwaga jest o wiele mniej zwrócona.

Jak wyglądają kulisy w cyrku, w którym corride daje swoje przedstawienia, opisuje nam sprawozdawca „L'Illustration Française," z d. 28 czerwca, w sposób następujący:

„Walki byków są dla wielu roznamiętniającym widowiskiem, dla innych ohydną jatką. Kulisy cyrku, przynajmniej pewne ich części mogą wzbudzić tylko jedno uczucie: obrzydzenie. Entuzyazm oficionados upadł by prawdopodobnie, gdyby po walce zaprowadzono ich za te kulisy.

Jedyne w nich miejsce uprzywilejowane, które nie razi wzroku swym strasznym realizmem, jest kapliczka. Kapliczka ta mieści się wprawdzie tylko w zagłębieniu muru, w sali przeznaczonej dla matadorów, zamykana jest na okiennice i na ołtarzu, ozdobionym kilkoma świecami, stoi statua *Virgen de los toreros*, Najświętszej Panny patronki torreadorów. Przed walką matador wzywa zawsze jej opieki.

Szukanoby jednak na próżno jakiejkolwiek struny idealnej w ambulansie, w którym opatrują rannych toreadorów. Umeblowanie tego pokoju jest jak najprostsze: dwa łóżka, stół do operacyi i strasznego wyglądu kryte nosze. Szczególniej narażeni są picadorzy wówczas, gdy ich byk przewraca na arenę, lub potężnem uderzeniem łba przewraca ich wraz z koniem przez „tolanquera" — i często podnoszeni są w opłakanym stanie. Jeżeli po upadku picador, zwykle kolos wzrostu 2 metr., cały zawalany krwią byka lub swego konia, jest wstanie dosiąść ponownie jakiej nieszczęsnej szkapy, idzie naprzód umyć sobie twarz u kranu ad hoc urządzonego w pobliżu stajen.

Miejscem jednak najokropniejszem jest bezwątpienia to, które możnaby nazwać jatką końską. W Sevilli np. podobne miejsce znajduje się na podwórzu, okolonem murami, w których sterczy kilka kółek. Tam „pocnos'y" wyprowadzają konie nazbyt silnie skaleczone, żeby dłużej mogły pozostać w arenie i dobijają je uderzeniem puntilla (rodzaj sztyletu). Pod koniec dnia częstokroć leży obok siebie od 15 — 25 koni. Nadjeżdża wówczas wóz, przejeżdża po tych ciałach przy odgłosie przekleństw i uderzeń batem. Każde martwe ciało jest związane za cztery nogi i pociągnięte w górę za pomocą bloka do odpowiedniej wysokości, głowa zwierzęcia buja przytem bezwładnie na prawo i lewo, grzywa i ogon rozwiane są wiatrem. Scena taka ma w sobie coś tak ohydnego, że się jej nie zapomina. A łączy się jeszcze do niej zapach krwi i krzyki małych uliczników z przyległych przedmieść zapalonych zwolenników tego bezpłatnego epilogu „corridy." Takie rzeczy są jeszcze tolerowane w XX wieku!

S. W.

WARUNKI PRENUMERATY „JEZDZCA i MYŚLIWEGO":

Dwutygodnik „Jeździec i Myśliwy" wraz z dodatkiem „Kuryer Sportowy":

W Warszawie: rocznie 9 rs., półrocznie 4 rs. 50 k., miesięcznie w sezonie od 1 marca do 1 listopada 1 rs. 20 kop.

Z przesyłką pocztową: rocznie 11 rs., półrocznie 5 rs. 50 kop., miesięcznie w sezonie od 1 marca do 1 listopada 1 rs. 50 kop.

Zagranicą: rocznie 12 rs. 50 k., półrocznie 6 rs. 25 k., miesięcznie w sezonie od 1 marca do 1 listopada 1 rs. 60 kop.

Dwutygodnik „Jeździec i Myśliwy" (bez dodatków „Kuryer Sportowy":)

W Warszawie: rocznie 5 rs., półrocznie 3 rs., kwartalnie 1 rs. 50 kop., miesięcznie 50 kop.

Z przesyłką pocztową w kraju i zagranicą: rocznie 6 rs., półrocznie 3 rs. 50 kop., kwartalnie 1 rs. 75 kop., miesięcznie 60 kop.

Pojedynczy numer 30 kop.

Pojedynczy dodatek 10 kop.

Dodatki „Kurjer Sportowy" (bez dwutygodnika „Jeździec i Myśliwy.")

W Warszawie: za sezon od 1 marca do 1 listopada 6 rs., miesięcznie 80 k.

Z przesyłką pocztową: za sezon od 1 marca do 1 listopada 7 rs., miesięcznie 1 rs.

Zagranicą: za sezon od 1 marca do 1 listopada 8 rs. 50 k., miesięcznie 1 rs. 20 k.

Adres Redakcyi i Administracyi: Chmielna 44 w Warszawie. Telefonu Nr. 1304.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 6 Іюля 1902 года.

Druk Noskowskiego, Warecka № 15. Redaktor i Wydawca: **Stanisław Wotowski.**